

7. Czas obozu

Mała jednostka czasu, na przykład dzień wypełniony ciągłym dokuczaniem, dłużyła się w obozie strasznie, natomiast dłuższy odcinek czasu, chociażby tydzień, z dniami podobnymi do siebie jak krople wody, przebiegał bardzo szybko. Koledzy przyznawali mi rację, gdy twierdziłem, że w obozie dzień trwa dłużej niż tydzień!³⁶

Porządek przestrzenny określa miejsca i lokalizuje wydarzenia, porządek czasu wyznacza cezury i ustala kolejność. O rozczłonkowaniu przestrzeni decydują odległości i rozmiary, o rozczłonkowaniu czasu – interwały, terminy i trwanie. Nadzór przestrzenny rozdziela ciała i steruje poruszeniami, nadzór czasowy rozkłada działanie na powtarzające się sekwencje. Społeczny czas to obiektywny, narzucony standardowy czas organizacji, władza może go jednak arbitralnie rozciągać, spowalniać albo przyspieszać. Czas w obozie był czymś więcej niż zewnętrznym przymusem, charakterystycznym dla czasu społecznego w ogóle³⁷. Władza obozowa przenikała wewnętrzną świadomość czasu i rozbiła wewnętrzną więź pamięci, oczekiwania i nadziei. Władza absolutna dalece przewyższa znane formy zorganizowanej kontroli czasu. Nie zadowala się bynajmniej synchronizacją i koordynacją zdarzeń. Niszczy ciągłość czasu wewnętrznego, przecina związki między przeszłością a przyszłością, zamyka ludzi w wiecznej terażniejszości. Nie poprzestaje na panowaniu nad ciałami, podporządkowuje sobie czas biograficzny i funkcje umysłu.

Planowanie czasu należy do sprawdzonych metod społecznej władzy³⁸. Harmonogram ustala obowiązującą kolejność zdarzeń, decyduje o zmianie i trwaniu, ustanawia powtórzenia i nawyki. Wyznacza punkty początkowe i końcowe, fazy i przejścia, linearne sekwencje lub cykliczne nawroty. Harmonogram czasu to program następstwa. Określa, kiedy coś ma być zrobione, definiuje czas trwania czynności i pauzy, rozmieszcza

³⁶ Frankl 1962, s. 79 i n.

³⁷ Por. Durkheim 1990, s. 9 i n.; Halbwachs 1985, s. 78 i n.; Elias 1984, s. XXX i n.; o teoriach czasu społecznego por. też Bergmann 1983; Schmied 1985.

³⁸ O parametrach harmonogramów por. Zerubavel 1976, s. 88 i n.

przyszłe zdarzenia na z góry wytyczonym trakcie. Działania można dzięki temu przewidzieć i włączyć w społeczny system. Im bardziej szczegółowy harmonogram, tym mniej czasu na wypadki nieplanowane, odstępstwa, marnowanie czasu. Im gęstsza podziałka, tym intensywniejsze wykorzystanie czasu. Harmonogram rozlicza każdą chwilę, uznaje wyłącznie maksymalną szybkość, precyzję, skuteczność. Harmonogramy gwarantują wydajność i dostarczają kryterium jej kontrolowania. Obóz ze względu na przemysłową organizację podobny jest do innych zakładów dyscyplinarnych³⁹, które swoją stabilność zawdzięczają reglamentacji codziennego biegu czasu.

Władza absolutna nie jest jednak szczególnie zainteresowana sztywną instytucjonalizacją czasu. Regularnie porzuca wystandardyzowane ścieżki czasowe⁴⁰, które sama ustanowiła. Podobnie jest w wypadku każdej formalizacji. Z jednej strony regulamin czasu jest skuteczną techniką władzy, z drugiej strony wiąże również sam reżim i podkopuje jego suwerenność. Sztywna struktura czasu oznaczałaby samozniesienie terroru. Interwencje byłyby do przewidzenia, ofiary mogłyby przedsięwziąć środki zaradcze, władza sprowadzałaby się do funkcji pilnowania porządku. O tym w obozie koncentracyjnym nie może być mowy. Terror oscyluje między planowaniem a bezładem, między regułą a działaniem z zaskoczenia. Ustanawia porządek czasu, zapewniając minimum organizacji, ale wbudowuje w ten porządek fazy przyspieszenia i spowolnienia. Władza, zastrzegając dla siebie odstępstwa i wyjątki od reguły, umacnia swoje panowanie nad czasem. Czasową zasadą władzy absolutnej nie jest obliczalność, ale swobodne zmiany tempa, przemienność trwania i nagłych incydentów, pośpiechu i czekania, spokoju i wstrząsów. Standardowy czas w obozie był czasem złudnym. W zewnętrznych ramach cyklicznych powtórzeń czas pulsował nieregularnie⁴¹. Nikt z więźniów nie mógł układać długoterminowych planów działania. Cokolwiek przedsięwziął, mogło zostać przekreślone albo zdławione w zarodku.

³⁹ Por. Foucault 2009, s. 137 i n.

⁴⁰ O pojęciach *time tracks* i odchyleniach spowodowanych przez *sidetracking* por. Lyman, Scott 1970, s. 191 i n., 211 i n.

⁴¹ O pojęciach „czasu łudzącego” i „czasu erratycznego” niepewności por. Gurvitch 1964, s. 31 i n.

Czas obozowy nie ewoluował. Rzecz jasna, organizacja miała swoją historię. Budowano ją i rozbudowywano, personel był dość regularnie wymieniany. Funkcje, lokalne tradycje i zwyczaje opresji ulegały zmianom, wyraźnie zaznaczały się pewne zdarzenia: pierwsza publiczna egzekucja, wybuch epidemii, uruchomienie jakiegoś warsztatu. Materialne warunki stopniowo, a wreszcie szybko się pogarszały. Mimo to systemowy czas obozu nie wiązał się z rozwojem. Nie liczone na to, że z biegiem czasu zapanuje dyscyplina, zostaną wyćwiczone czynności albo sprawności. Kary nie miały nikogo poprawiać ani wychowywać. Czasowej struktury obozu nie należy mylić z czasem nowoczesnych zakładów dyscyplinarnych⁴². Czas obozowy nie był nastawiony na osiągnięcie celów. Brakowało gradacji odcinków, wznoszącej się linii, stałej kumulacji. Czasowa zasada terroru wiąże cykliczne nawroty z nieskończonym trwaniem i nagłymi incydentami. Mimo zmiennych okoliczności historycznych ta zasada rządziła biegiem dni aż do końca.

Przebieg dnia podlegał stale powtarzającemu się schematowi⁴³. Dzwon, gwizdek albo syrena budziły więźniów o 4.00 albo 4.30, zimą przeważnie godzinę później⁴⁴. Więźniów, którzy natychmiast nie zerwali się na nogi, personel bloku spędzał z pośtań biciem. W pośpiechu trzeba było słać łóżka, sprzątać blok, ubierać się, wydawać posiłek, biec do latryny. Od pobudki do stawienia się na apelu porannym więźniowie mieli tylko pół godziny, najwyżej trzy kwadranse. Chociaż w bloku przebywali w swoim gronie, tę pierwszą fazę wypełniały wrzaski, popędzanie i gorączkowy pośpiech. Chodziło o to, by pozostawić blok w porządku i w pełnym składzie stawić się na apelu. Współwięźniowie wywlekali maruderów albo biciem zmuszali do pośpiechu. Zanim jeszcze pojawiło się SS, dzień zaczynał się od brutalnego ponagrania.

⁴² Por. Foucault 2009, s. 144 i n.

⁴³ Por. *Auschwitz* 1980, s. 83 i n.; Bakels 1982, s. 267 i n.; Bauche i in. 1986, s. 131 i n.; Kogon 1974, s. 101 i n.; Marsalek 1980, s. 51 i n., 91 i n.; Marszałek 1981, s. 85 i n.; Naujoks 1987, s. 69; Fröbe i in. 1985, s. 230 i n.

⁴⁴ Szczególną szykaną były urządzane przed pobudką półgodzinne „ćwiczenia sportowe”: więźniom kazano w „obłądnym tempie” (Kogon 1974, s. 101) uprawiać gimnastykę, tak że już na początku dnia byli doszczętnie wyczerpani. Określone komanda – jak personel kuchenny albo służby porządkowe w budynkach SS – musiały rozpocząć pracę przed innymi. Gdy budzono obóz, śniadanie musiało być już przygotowane.

Potem następował czas czekania. Więźniowie maszerowali blokami na plac apelowy i czekali tam, aż pojawi się SS. Personel bloku przeliczał obecnych i wynik meldował kancelarii, która przekazywała ogólny wynik rapportführerowi SS. Dla kontroli blockführerzy SS jeszcze raz przeliczali obecnych, aby rapportführer mógł porównać oba wyniki. Ażeby suma się zgadzała, trzeba było liczyć też chorych przebywających w rewirze oraz tych, którzy zmarli w ciągu nocy. Przy sprawnym przekazywaniu meldunków ta podwójna procedura biurokratyczna mogłaby zająć nie więcej niż pół godziny. Ale często się przedłużała i była przerywana bezwzględными interwencjami. Mimo ustalonych pór apelu SS nieraz kazało na siebie czekać. O szarym świetle kolumny, oświetlone reflektorami, musiały bez względu na pogodę sterczeć bez ruchu, aż na scenie pojawią się panowie obozu. Ich przybycie było wykalkulowaną demonstracją⁴⁵. Kazać na siebie czekać tysiącom ludzi to zawsze znamień pełni władzy. Panowie obozu i tak nie musieli się spieszyć. Do miejsc pracy więźniowie wymaszerowywali dopiero, gdy zrobiło się jasno. Toteż w miesiącach zimowych apel poranny mógł przeciągać się do półtorej godziny, aż z megafonów rozlegał się rozkaz formowania komand roboczych. Dostosowanie czasu pracy do dziennego światła było jedynym ustępstwem reżimu na rzecz czasu naturalnego.

Po apelu więźniowie biegli na miejsce zbiórki swojego komanda. Przez moment na rozległym placu apelowym panowało dzięki zamieszaniu. Formacja apelowa rozpadała się i przeobrażała w kłębiący się tłum, do chwili gdy masa ludzka na nowo ugrupowała się w kolumny. Ten krótki moment przejściowy zresztą przedstawiał się chaotycznie tylko na zewnątrz. Ludzie zdążali na wyznaczone miejsce możliwie szybko, mimo ścisku i tumultu najprostszą drogą. Nie wolno było się spóźnić. Maruderom zawsze groziło pobicie przez kapo. Kto nie był jeszcze

⁴⁵ Antelme (1987, s. 30) widzi tu wręcz analogię do teofanii: „W Buchenwaldzie na apelu trzeba było godzinami czekać. Tysiące ludzi stało. Wtem: «Idzie! Idzie!». Był jeszcze daleko. I nagle nic i nikt już nie istnieje, tylko tysiące. «Idzie!» Jeszcze go nie ma, ale z daleka chłonie powietrze, rozrzedza je, wysysa. Tylko te tysiące, bo tu nie ma nic, nie ma nikogo, tylko czworoboki tysięcy. Jest. Jeszcze go nie widać. Pojawia się. Sam jeden. Niepozorna figura, niepozorny człowiek, ale to SS-man. Oczy widzą twarz przeciętnego człowieka. On tu jest człowiekiem. Jest Bogiem o tuzinkowej twarzy. Przechodzi obok tysięcy. Przeszedł. Już go nie ma. Świat znów się zaludnia”.

przydzielony do żadnego komanda i usiłował się gdzieś wepchnąć, tego natychmiast odpędzano. Kolumny ustawiały się w szyku, były przeliczane i kolejno, równym krokiem, wyruszały w kierunku bramy, tam odbywały obowiązkowy rytuał salutów, a następnie przejmowane były przez straż SS, które eskortowały je w drodze do miejsca pracy. Tymczasem robiło się około 6.00, w zimie o godzinę później. W ciągu zaledwie dwu godzin społeczeństwo obozowe wielokrotnie zmieniał stan skupienia: najpierw gorączkowy pośpiech w blokach, potem czekanie w apelowym ordynku, rozbiegający się spieszenie tłum, wreszcie uregulowany wymarsz kolumn.

Marsz również stwarzał okazję do maltretowania. Kapo i esesmani zmuszali kuśtykających więźniów do biegu albo kazali im śpiewać⁴⁶. Jeśli śpiew nie wychodził albo ktoś zostawał w tyle, sypały się ciosy i kopniaki⁴⁷. Marsz niczym nie przypominał regularnego, rytmicznego ruchu. Tylko ci z pierwszych szeregów mogli poniekąd utrzymywać równy krok. W środku i u końca kolumny stale dochodziło do zakłóceń. Ci, którzy zajmowali miejsce z boku szeregu, narażeni byli na razy, wielu nie mogło nadążyć, ustawało i musiało potem nadrabiać biegiem. Tylko gdy nadzorcy byli akurat przypadkiem w dobrym humorze, pozostawiali więźniów w spokoju. Ale wtedy też nie wolno było ściągnąć na siebie uwagi głośnym mówieniem, spojrzeniem w niewłaściwą stronę, potknięciem albo kulejącym krokiem. Droga do miejsca pracy była

⁴⁶ Nie na darmo ulica w Buchenwaldzie, którą pędzono więźniów od bramy na miejsce budowy i do hal Gustloff-Werke, w obozowym żargonie nosiła nazwę „Carachoweg”.

⁴⁷ Bicie było niepotrzebne, gdy wycieńczonych więźniów po prostu zostawiano w błocie obozowej ulicy. P. Lewińska tak pisze o Birkenau: „Upaść to jest jednoznaczne ze zginąć. [...] Znający się na humorze SS-mani skoro tylko ujrzeli chwiejącą się postać, która z trudem wyciągała nogi z bagnistej gliny drózek lagrowych, natychmiast jednym kopnięciem zanurzali ją w czarnej lepiającej się mazi. Podnieść się samemu nie ma siły, pomóc nikt nie potrafi. Toteż każdego dnia, kiedy kolumny wyruszały do pracy, zawsze po kilka i kilkanaście słabszych – pozostawało w błocie. [...] Nie można się opruć – nie ma gdzie, nie ma czym, nie ma kiedy, nie można się oczyścić, nie można się obmyć. Można tylko pozostać na Lagerstrasse w błocie, skąd specjalna kolumna wybiera upadłe i poskłada na jedną kupę trupów, choć jeszcze żywe” (w: Pozner 1982, s. 66 i n. [cyt. wg publikacji oryginalnej: P. Lewińska, *Oświęcim. Pogarda i triumf człowieka*, Wydawnictwo Rady Narodowej Polaków we Francji, Paryż 1946, s. 33 i n. – dopisek tłum.]).

najdłuższym odcinkiem, jaki więzień miał do przebycia na terenie obozu. W obrębie „dużej linii straży” wynosiło to przeważnie tylko kilkaset metrów, niektóre miejsca pracy były jednak oddalone o kilka kilometrów⁴⁸. Maszerowanie w topornych drewniakach było jedną wielką męką. Buty⁴⁹ ocierały do krwi i powodowały jatrzące się rany i obrzmienia. Stopy ciążyły jak ołów. A mimo to nie wolno było wlec się na końcu. Toteż wielu więźniów wołało maszerować bosy albo w samych onucach, nawet gdy nogi grzęzły po kostki w błocie.

Gorączkowy pośpiech nie ustawał też w czasie pracy. Okresowo obowiązywał rozkaz poruszania się wyłącznie biegiem, przestrzegany jednak tylko wówczas, gdy miejsce pracy znajdowało się pod stałym nadzorem. Naczelny przykazaniem więźnia było „wyhamowywanie”. Ledwo kapo albo nadzorca zniknął, tempo pracy spadało do minimum. Gdy zwierzchnik wracał, wytěżano wszystkie siły, by zademonstrować chwackie tempo. Większość czynności nie była zmechanizowana i zależna od rytmu technicznych urządzeń, toteż czas pracy był czasem wyłącznie społecznym. Niekiedy zastygał, niekiedy przerywały go akty terroru. Poganiania uniknąć mógł tylko ten, kto zdołał zapewnić sobie

⁴⁸ Odległość od obozu macierzystego Sachsenhausen do miejsca budowy fabryki klinkieru wynosiła ok. 2 km, z Auschwitz do Buna-Werke w Dworach ok. 7 km. Z początku komanda musiały codziennie pokonywać tę drogę pieszo, potem dowożono je kolejką, aż wreszcie w Monowitz urządzono osobny obóz. Również do filii, zakładanych pod koniec wojny i nieleżących bezpośrednio na terenie fabrycznym, trzeba było często maszerować wiele kilometrów. Aby podać dwa przykłady: odległość z obozu Hanower-Mühlenberg do bramy zakładów Hanomag wynosiła ok. 3 km (por. Fröbe i in. 1985, s. 466); w Hessisch-Lichtenau Żydówki pędzono codziennie przez całą miejscowość, potem ładowano do „pociągu specjalnego” o trzech wagonach towarowych i wieziono do stacji Fürstehagen, skąd miały jeszcze kilometr drogi pod górę do fabryki materiałów wybuchowych Dynamit Nobel AG. Jeśli akurat nie było do dyspozycji pociągu, trasa marszu wynosiła 5 km. Poza czasem pracy kobiety codziennie były ok. 3 godzin w drodze (por. Vaupel 1984, s. 52 i n.).

⁴⁹ W wielu relacjach więźniowie podkreślają, że buty miały zasadnicze znaczenie dla przeżycia. O mentalności SS świadczy zresztą, że wokół placu apelowego w Sachsenhausen urządzono „trasę próbną”, długości 700 m, pokrytą nawierzchniami różnego rodzaju, po której komando karne obciążone workami z piaskiem codziennie musiało maszerować w szybkim tempie, pokonując 30–40 km, pozornie po to, by wypróbować różne podeszwy, faktycznie po to, by rozchodzić twarde skórzane buty. Por. Naujoks 1987, s. 209; Kielar 1972, s. 437 i n.

niespieszne zadanie specjalne, pozorował konieczność oddalenia się, przyłączał się do grupy prowadzonej do ustępu. Czujność i przerwy podczas pracy były warunkiem przeżycia. Czas się nie kończył. Oszczędzanie sił było jedyną szansą złagodzenia wyniszczającej presji pracy.

Oficjalnie w czasie pracy przewidziana była tylko jedna przerwa w południe. Jeśli komanda wracały w południe do obozu, przerwa skrócona była o czas przemarszu i czas apelu. Na zjedzenie zupy zostawało zatem ledwie kilka minut. Czas przerwy i odpoczynku też wypełniony był pośpiechem i szykanami. W ścisiku wokół kotła i blaszanych misek nie każdemu udawało się zdobyć posiłek. Presja czasu osłabła dopiero, gdy zrezygnowano z apelu południowego w obozie i dostarczano jedzenie do miejsc pracy. Celem było tu nie wydłużenie przerwy, lecz czasu pracy. Zamiast godziny przerwa południowa trwała tylko trzydzieści minut. Aż do końca dnia roboczego, zimą do zmroku, w miesiącach letnich do godziny 17 lub 18, przerw już nie było. Efektywny czas pracy w zimie wynosił więc osiem–dziewięć godzin, w pozostałych miesiącach jedenaście godzin, w obozach zewnętrznych, gdzie pracowano na zmiany, nawet dwanaście godzin⁵⁰.

Czas pracy dłużył się nieubłagane. Poza nielicznymi prominentami więźniom nie wolno było nosić zegarków. Tylko personel orientował się, ile czasu minęło. Więźniowie mogli jedynie w przybliżeniu oceniać upływ czasu według położenia słońca. Brakowało miary czasu, ponadto wiele czynności nie miało żadnego określonego celu. Działanie rozciągało się w stałą aktywność bez sensownego zakończenia⁵¹. Kopanie długiego rowu, rozbieranie stosu kamieni, wciąganie lor pod górę – takie prace nie pozwalają rozczłonkować czasu na zadaniowe odcinki. Ruchy zawisają w czystym trwaniu, wytwarza się stan bez przejść i cezur. Zaradzić temu może tylko indywidualne konstruowanie faz i odcinków. Kto wiedział, że na przebyciu drogi transportowej potrzeba mniej więcej dziesięć minut i liczył każde kolejne przejście, mógł się zorientować, ile czasu minęło i ile razy jeszcze wypadnie mu przebyć tę trasę. Trwanie

⁵⁰ W instrukcji dla komendantów z 22.11.1943 (Nbg. Dok. NO-1290) Pohl nakazał jedenastogodzinny dzień roboczy także w miesiącach zimowych. Można było jednak tego przestrzegać tylko w zakładach o zamkniętej przestrzeni. Tam, gdzie praca odbywała się pod gołym niebem, koniec zarządzano o zmroku, ze względu na większe ryzyko ucieczek.

⁵¹ Obszernie o tym por. IV, 16.

zostało podzielone na równe interwały, upływające jednak z nierówną prędkością⁵². Ten wewnętrzny, opozycyjny czas nie usuwał wprawdzie koszmaru trwania, ale łagodził go i umacniał poczucie, że jakiś odcinek czasu ma się już za sobą.

Obiektywne trwanie i przeciwstawny mu czas subiektywny wciąż zakłócały momenty najwyższego zagrożenia. Czas pracy był zawsze zarazem czasem terroru. Ekscesy, maltretowanie albo ochoczo powodowane wypadki były zawsze możliwe. Ludzie pracowali w ustawicznym strachu przed tym, co może nastąpić. Akty przemocy były nie do przewidzenia. Do agresji dochodziło na ogół bez zapowiedzi i ostrzeżenia. Choć zawsze trzeba było liczyć się z najgorszym, przemoc wybuchała znienacka. Nagły atak na krótko rozsadzał ciągłość czasu. Im bardziej przemoc jest zaskoczeniem, im błyskawiczniej dopada i uderza, tym większa bezradność i przerażenie ofiary. Do tego władzy potrzebne jest trwanie, które może sama gwałtownie przerwać i natychmiast znowu przywrócić. Nieskończoność czasu jest nie tylko środkiem udręki, lecz także czasowym podłożem terroru. Dopiero na tle ciągłości zaznacza się nagłość, czasowy modus terrorystycznej ingerencji. Te wydarzenia nie rozczłonkują jednak trwania, jedynie je przerywają. Nie ukierunkowują czasu, lecz redukują go do punktu stanowiącego cezurę. Czasowa struktura sytuacji bezpośredniej przemocy zawsze jest okazjonalna⁵³. Nie zna kategorii „przed” i „po”, lecz jedynie absolutną teraźniejszość.

⁵² Por. Bettelheim 1980, s. 154 i n. Obraz tego wewnętrznego porządku czasu, opartego jednak na obiektywnym czasie fabrycznym, daje Antelme 1987, s. 100: „O dziewiątej rano w fabryce upłynęły już trzy godziny, połowa czasu do południa; w południe mijała połowa dnia. Po południu godziny były cenniejsze, dosłownie się je pochłaniało; czwarta: jeszcze dwie godziny. O dziewiątej rano było się w innym świecie, jak to w ogóle możliwe być tu o dziewiątej, mając przed sobą perspektywę dziesięciu godzin w fabryce? Jakim cudem minęła każda z tych godzin? Zwłaszcza ta pierwsza, od szóstej do siódmej, kiedy trzeba zaskoczyć, wgryźć się w dzień. Kiedy się udało wgryźć w dzień, to już było coś na kształt ulgi. Godzina, która teraz następuje, jest bardzo długa; tego, co się ma za sobą, nie można jeszcze ocenić, nie można ogarnąć, za mało tego jest. [...] Można by sobie też wyobrażać, że to, co się robi, jest kompletnie obojętne i właściwie spędza się czas na liczeniu czasu. [...] Gdy jednak spojrzeć na wykonaną robotę, czas mija; gdy człowieka biją po głowie, czas mija; gdy się idzie do latryny, czas mija; gdy się patrzy uważnie na znienawidzoną twarz, czas mija”.

⁵³ O czasie okazjonalnym por. Rammstedt 1975, s. 49 i n.

Dzieli czas na „teraz” i „nie-teraz”. Jediną treścią tej momentalnej sytuacji jest śmiertelne niebezpieczeństwo. Terror rozbija strumień czasu. Pozostawia bezsilność, niepewność, dręczący strach przed następnym atakiem. Tak więc czas pracy był zarazem nieskończony i punktowy, ciągły i poszatkowany, był bezcelowym stanem, przerywanym momentami skrajnego zagrożenia.

Po zakończeniu pracy powtarzała się w odwrotnej kolejności sekwencja poranna. Czas początku dnia przebiegał jak gdyby wstecz. Kolumny przeliczano, zmarłych układano na taczki albo niesiono na ramionach do obozu. Choć więźniowie na ogół byli skrajnie wyczerpani i spragnieni, wielu było poranionych, wielu miało chore nogi, powrót często odbywał się człapiącym biegiem. U bramy czekał ten sam rytuał salutu co rano. Komanda zewnętrzne, które miały styczność z cywilami, rewidowano w poszukiwaniu tytoniu, pieniędzy albo żywności. Mimo długiego dnia roboczego więźniom nie wolno było wrócić na posiłek do kwatery. Zaczynał się czas nowej grozy, apel wieczorny.

Apel wieczorny, jak każdy apel, służył biurokratycznej kontroli stanu obecności. I z tym można byłoby, przy gruntownym przygotowaniu, uporać się w niespełną pół godziny, mimo zachodzących w ciągu dnia zmian: transportów, nowych przyjęć, zmiany komand, chorób i zgonów. Apel wieczorny nie sprowadzał się jednak do procedury administracyjno-technicznej, był czymś znacznie więcej – kulminacyjnym punktem dziennego czasu władzy. Społeczeństwo więźniów gromadziło się w pełnej liczbie. Tysiące stały w przepisowym orydku przed garstką SS-manów, zmuszone okazywać im uległy szacunek. Na apelu musieli być obecni nawet konający i zmarli⁵⁴. Układano ich obok kolumny bloku. Do kostnicy wolno było zmarłych zanieść dopiero po apelu i nie chodziło tylko o to, by zgadzał się stan liczbowy. Ludzie mieli widzieć,

⁵⁴ Zimą więźniowie ustawiali zastygłe zwłoki pionowo w obrębie formacji bloku. „W środku tych kwadratów zmarli, na stojąco, podtrzymywani niewidzialnymi dłońmi, prezentowali się doskonale. Sztynieli bardzo szybko w lodowatym zimnie Ettersbergu [...]. SS-mani sprawdzali stan więźniów, przeliczali ich skrupulatnie, żeby ustalić ilość racji na dzień następny. Chleb zmarłych, porcja margaryny zmarłego, ich zupa pozwalała kolegom stworzyć pewien zapas żywności, żeby obdzielić nią najsłabszych, chorych. Na placu apelowym [...] trupy zmarłych za dnia kolegów oddawały walną przysługę żyjącym. Pozwalały zwyciężać, chwilowo, śmierć czyhającą na wszystkich tych żywych” (Semprun 1964, s. 223).

ilu zmarło tego dnia. I mieli widzieć, że sami są skazani na śmierć. Tych, którzy mdleli podczas apelu, kładziono obok trupów. Więźniowie, mimo ogromnej przewagi liczebnej, zmuszeni byli patrzeć na umieranie towarzyszy. Nie mogli nic zrobić. Byli tylko zbiorowym ciałem, pozbawionym wewnętrznej jedności. Apel demonstrował zabójczy kontrast między bezsilną masą a absolutną suwerennością.

Triumf władzy przejawiał się nie tylko w stosunku do zmarłych, ale także w ruchu żywych. Władza przenikała zbiorowe ciało więźniów aż po najdrobniejszy gest. Panowie obozu stali przed frontem w rozkroku, z wyprężonymi kolanami, z tułowiem lekko pochylonym do przodu, niedbale uderzając pejczem o cholewy. Wzrok prześlizgiwał się po masie więziarskiej, głos przez megafony docierał do najdalszych szeregów. Kilku nadzorców przechadzało się wzdłuż rzędów, wypatrując nieprawidłowości. Coś zawsze się znalazło: stopa wystająca o centymetr poza linię, brak czapki, spojrzenie, które nie było utkwione prosto przed siebie. Tylko ci, którzy stali w środku szyku, zasłonięci przez innych, mogli się nieco rozluźnić albo nawet podrzemać. Masowa formacja była jednym wielkim ciałem, toteż najmniejsze odstępstwo natychmiast zwracało uwagę. Każda zwłoka albo niezręczność rzucała się w oczy. Przeliczanie odbywało się piorunem, na rozkaz wszyscy przybierali postawę zasadniczą albo zrywali czapki z głów. Apel trwał często wiele godzin, ale władza siekała ten czas na mikrocasy gestów. Władza absolutna sprzęga jednostki w masę i formuje jej członki. Synchronizuje zbiorową anatomię, której ruchy można odmierzać ułamkami sekundy.

W przeciwieństwie do innych apeli służących sprawdzeniu stanu liczebnego apel wieczorny nie był czasowo ograniczony. Po pracy można go było dowolnie przedłużać. Każda minuta jego trwania uszczuplała czas więźniów przewidziany na jedzenie, odpoczynek, sen. Przedłużanie apelu było sankcją, karą, której środkiem był sam czas. Jeśli brakowało jednego spośród tysięcy, zaczynała się przewlekła procedura. Wywoływano po kolei każdy numer, tłumacze odczytywali cudzoziemskie nazwiska we wszystkich językach, które były reprezentowane w obozie. Jeśli podejrzewano ucieczkę, do akcji ruszały oddziały tropiące. „Duża linia straży” zwijana była dopiero po zakończeniu apelu. Przeważnie jednak nie chodziło o ucieczkę. Ktoś wyczerpany zaszył się w jakimś kącie, w ścieku kanalizacyjnym, w chlewie albo pod podłogą baraku i tam zapadł w sen. Po znalezieniu, skatowanego przez SS-manów albo kapo

niemal na śmierć, wleczono go na plac apelowy i albo dobijano ciosami, albo wieszano jako „zbiega”. Podczas poszukiwań wszyscy inni musieli czekać na stojąco. Im szybciej SS dopadła współtowarzysza, tym krócej trwał czas apelowy dla pozostałych. Zbiorowa sankcja czasu wygrywała społeczeństwo przeciwko jednostce. Toteż w interesie każdego leżało, by nikt nie uciekał i nikogo nie brakło na apelu.

Normalny apel wieczorny w dużych obozach macierzystych trwał z reguły od półtorej do dwóch godzin; jeśli wymierzano publiczną karę albo wykonywano egzekucję – dłużej. Niekiedy apel karny przeciągał się aż do godzin nocnych i stawał się apelem eksterminacyjnym. W miesiącach zimowych SS kazało stać więźniom tak długo, że dziesiątkami zamarziali albo padali bez sił⁵⁵. Jak nowo przybyli u bramy, całe społeczeństwo obozu było skazane na torturę stójki. Mordowano bez użycia pałki czy broni palnej. SS wykorzystywało do zabijania codzienną procedurę. Władza absolutna ma bowiem zawsze czas i nie potrzebuje się spieszyć. Więźniowie musieli stać bez ruchu, nadzorcy natomiast mogli się wymieniać i zachodzić do kantyny. Dla ofiar każda minuta trwania apelu oznaczała głód, wyczerpanie, chorobę, śmierć.

Resztę dnia więźniowie spędzali we własnym gronie. Personel więziński wydawał wieczorne racje żywności w blokach. Niektórzy reperowali

⁵⁵ Kogon (1974, s. 104 i n.) opisuje dwa takie apele. 14.12.1938, w pierwszej fazie przepełnienia po pogromach Żydów, więźniowie musieli stać przez 19 godzin przy piętnastostopniowym mrozie. Do południa następnego dnia zmarło ponad 70 osób. Podobny apel wspomina też Bettelheim (1980, s. 150 i n.). Konstatuje, że zachodzi przy tym proces „depersonalizacji”, kiedy to jednostka znika w masie i wyzbywa się nawet lęku przed śmiercią, gdy zbiorowy nastrój przeradza się w euforię: „Było im obojętne, czy strażnicy ich rozstrzelają. Katusze nie robiły na nich wrażenia. Strażnicy nie mieli już nad nimi mocy, strach i śmierć straciły swoją magiczną siłę. Gdy osiągnięto ten stan, więźniów ogarniała niemal orgiastyczna euforia; stając się masą, udaremniłi próby złamania ich oporu ze strony gestapo”. Trudno rozstrzygnąć, czy ta euforia faktycznie wynikała z komasacji, czy też była skutkiem narastającej apatii. Naujoks (1987, s. 176 i n.) opisuje eksterminacyjny apel w Sachsenhausen, gdzie Höss 18.01.1940 przy 26 stopniach mrozu trzymał wszystkie „komanda stojące” przez cały dzień na placu apelowym. Bilans: „Tęego dnia zmarło 78 osób, w nocy z 18 na 19 stycznia – jeszcze 67 osób. Wielu złapało wirusa śmierci i żyło jeszcze tylko kilka dni lub tygodni. Śmiertelność wzrosła z 266 więźniów w grudniu 1939 do 702 w styczniu 1940 r. W lutym zmarło 488 więźniów. Wielu z tych, którzy ocaleli, przez całe życie cierpiało z powodu odmrożeń”.

odzież albo czyścili buty. Przy rewirze tłoczyli się chorzy, w zakamarkach bloku albo przy rampie na terenie obozu dokonywano transakcji zamiennych. Niektórzy chodzili tam i z powrotem po obozowej ulicy albo odwiedzali towarzysza w innym bloku. Ale i w tym krótkim „czasie wolnym” narażeni byli na akty przemocy. Koniec apelu dla większości SS-manów oznaczał koniec służby, jednak nierzadko pojawiali się blockführerzy i dla zabawy sprawdzali szafki, jedzących zapędzali pod stół albo przeganiali biegiem wokół bloku. Te naloty nie miały nic wspólnego z wyrzutowymi rewizjami. Chodziło wyłącznie o utrzymanie strachu, o wszechobecność terroru i skrócenie czasu na niekontrolowane kontakty. Nawet gdy przez chwilę nic się nie działo, trzeba było stale liczyć się z tym, że władza uderzy „jak grom z jasnego nieba”. To samo dotyczyło niespodzianych nalotów nocnych. Po gwizdku o 20.30 albo 20.45 nikomu nie wolno było opuszczać bloku, po 21.00 wszyscy mieli leżeć na postaniach. Zawsze jednak paru pijanym SS-manom mogło przyjść do głowy, by w środku nocy zarządzić bieg na bosaka po śniegu albo błocie.

Przebieg zdarzeń od pobudki do ciszy nocnej powtarzał się dzień w dzień. Wyłomem były tylko niedziele. Gdyby niedzielne popołudnia nie były wolne od pracy, nic nie sygnalizowałoby więźniom końca tygodnia. Regularne nawroty więziły czas w określonym ruchu. Z podobną regularnością powtarzały się formy społeczne: gorączkowy pośpiech w blokach, oczekiwanie w szyku apelowym, tumult, wymarsz kolumn, komando robocze, powracająca kolumna marszowa, stojąca masa na apelu wieczornym, wreszcie nieformalny handel i kontakty w „czasie wolnym”. Równoległe do cyklu obozowego czasu przebiegał cykl zachowań społecznych. Faktycznie, rzecz jasna, jeden dzień był niepodobny do drugiego. Raz wypadła lepsza pogoda, kiedy indziej niespodzianie trafiła się dokładka przy wydawaniu jedzenia. Ale nawracający rytm pośpiechu i czekania, trwania i nagłych incydentów stopniowo stępiał poczucie czasu. Przeszłość i przyszłość zamykały się. Nie było początku i nie było perspektywy końca. Różnice coraz bardziej obojętniały⁵⁶.

⁵⁶ Por. np. Levi 1978, s. 132: „Nawet przez to dzisiaj, które z rana wydawało się tak ciężkie do zniesienia i nieskończone, przebrnęliśmy minuta po minucie; teraz jest już załatwione i od razu zapomniane, nie jest już dniem, nie zostawiło śladu w niczyjej pamięci. Wiemy, że jutro będzie takie, jak dzisiaj: może deszcz

Czas obozowy miał wprawdzie swoją standardową formę, ale stanowiła ona jedynie ramy terroru. Władza absolutna nie podlega czasowi, raczej nim manipuluje, rozciąga go, przyspiesza, zaskakuje swoje ofiary nagłymi interwencjami i torturuje trwaniem. Ten wieloraki czas niszczył poczucie bezpieczeństwa, które cykliczne struktury czasu na ogół umacniają. Obóz wpychał ludzi w wieczne Teraz niepewności i grozy.

8. Czas więźnia

Ustawili nas w szeregi do tatuowania. Kilka zemdłało, niektóre krzyczały. Przyszła kolej na mnie. Wiedziałam, że ból ten będzie śmieszny w porównaniu z tym, co nas czeka. Jaki może być ból, który trwa minutę, w zestawieniu z tym, który może trwać lata? Więźniarka z wydziału politycznego z bardzo niskim numerem i czerwonym winklem bez P (volksdeutschka) wzięła moją rękę i zaczęła nakłuwać kolejny numer: 55908. Kłuła mnie właściwie nie w rękę, lecz w serce – tak to czułam. Od tej chwili przestałam być człowiekiem. Przestałam odczuwać, pamiętać. Umarła wolność, mama, przyjaciele, domy, drzewa. Nie miałam już nazwiska, adresu. Byłam Häftling nr 55908. I w tej minucie za każdym ukluciem odpadał jakiś okres życia⁵⁷.

Kontrolowanie czasu społecznego to tylko jeden etap w całym procesie dehumanizacji. Władza absolutna chce nie tylko panować nad zewnętrznym czasem ciała, ruchu i postawy. Chce przekształcić albo wyeliminować wszelki czas własny – czas działania, umysłu i duszy. Różnicuje, przyspiesza i spowalnia czas społeczny, aby zamknąć ludzi w wiecznej teraźniejszości, i analogicznie ingeruje w sferę mentalnego i praktycznego samoodniesienia. Przenika czas biograficzny, wymazuje pamięć, przekreśla projekty działania. Jej celem jest zniszczenie czasu

będzie padał trochę mniej lub trochę więcej albo może zamiast wykopywać ziemię pójdziemy do karburu wyładowywać cegły. Albo może nawet jutro skończy się wojna, albo wszyscy będziemy zabici, albo przeniesieni do innego obozu, albo dokona się któraś z tych wielkich przemian, które, odkąd lagier lagrem, niezmordowanie przepowiada się jako nieuchronne i pewne. Ale kto kiedy może poważnie myśleć o jutrze?”

⁵⁷ Żywulska 1958, s. 17.